

# ORIANA FALLACI

## WŚCIEKŁOŚĆ I DUMA

*To jest wojna, obudźcie się!*

*Czy nie widzicie, że tacy ludzie jak Osama ben Laden chcą nas zniszczyć? Że czują się uprawnieni do tego, żeby zabijać was i wasze dzieci, tylko dlatego że pijecie wino lub piwo, chodźcie do teatru lub kina, nosicie minispódniczki albo krótkie skarpetki, kochacie się kiedy chcecie, gdzie chcecie i z kim chcecie? Nawet to was nie obchodzi, idioci?*

*Po latach milczenia słynna włoska pisarka Oriana Fallaci ogłosiła w "Corriere della Sera" pełną furii filipikę, w której atakuje islam i nawołuje do obrony zachodniej cywilizacji*

**Od redakcji "Corriere della Sera**

Tym nadzwyczajnym szkicem Oriana Fallaci przerywa dziesięcioletnie milczenie. Bardzo długie. Nasza najslawniejsza pisarka (ona sama określa się jako pisarz i w ogóle nie wypowiada już słowa "dziennikarz") spędza sporą część roku na Manhattanie. Nie odbiera telefonu, rzadko otwiera drzwi, wychodzi jeszcze rzadziej. Nie udziela wywiadów. Choć wszyscy próbowali, nikomu się nie udało. Żyje w izolacji od świata. Ale historia i los chciały, żeby centrum współczesnej apokalipsy jak dantejska czeluść rozwarło się nieopodal jej pięknej literackiej pustelni. Fala uderzeniowa tamtego poranka 11 września zniszczyła również klasztorny i hermetyczny spokój Oriany.

Otwiera drzwi - ta niezwykła czynność ją samą zdaje się dziwić... Jej wzrok jest równocześnie łagodny i dziki. Wśród stosów papierzysek, w pozornym chaosie, Oriana od lat z wojowniczym zapalem pracuje nad dziełem bardzo ważnym i wyczekiwany przez świat.

Poprosiłem ją, żeby opisała to, co widziała, czego doświadczyła, co poczuła w tamten wtorek i później - i Oriana zebrała na kilku kartkach swoje uczucia i myśli. "Na każdym doświadczeniu zostawiam strzępy duszy" - napisała kilka lat temu. To w dalszym ciągu jest prawda, najprawdziwsza. Myśli mocne. Przejmujące. Jest nad czym się zatrzymać, zastanowić. O Ameryce, o Włoszech, o świecie islamu. O Ojczyźnie (zaskakujące jest to, co mówi o Ojczyźnie). Inwektywy i tezy, które biją równocześnie z mózgu i serca, a raczej z mózgu przez serce. "Ktoś musiał to powiedzieć. Powiedziałam. Teraz zostawcie mnie w spokoju. Drzwi są znowu zamknięte. I nie chcę już ich otwierać" - wybucha. Jej szpony. Te same co zawsze. Wywoła dyskusję. I to jaką.

**FERRUCCIO DE BORTOLI, REDAKTOR NACZELNY (11 Września 2001)**

Chcesz, żebym się wreszcie odezwała. Prosisz, żebym tym razem przerwała milczenie, które wybrałam, które od lat sobie narzucam, żeby nie wmieszać swojego głosu w orkiestrę cykad. I zrobię to. Ponieważ dowiedziałam się, że również we Włoszech są tacy, którzy się cieszą - tak samo jak wczoraj wieczorem w Gazie przed kamerami cieszyli się Palestyńczycy.

"Zwycięstwo! Zwycięstwo!". Mężczyźni, kobiety, dzieci. O ile kogoś, kto zachowuje się w taki sposób, w ogóle można nazwać mężczyzną, kobietą czy dzieckiem. Dowiedziałam się, że niektóre luksusowe cykady, politycy lub tak zwani politycy, intelektualiści lub tak zwani intelektualiści, a także inne indywidualia, które nie zasługują na miano obywateli, zachowują się zasadniczo tak samo. Mówią: "Dobrze tak Amerykanom. Dobrze im tak". I jestem bardzo, bardzo, bardzo wściekła. Wściekła wściekłością zimną, przejrzystą, racjonalną. Wściekłością, która eliminuje wszelki dystans, wszelką wyrozumiałość, która mi każe udzielić im odpowiedzi, a przede wszystkim ich opluć. Pluję na nich. Równie wściekła co ja afroamerykańska poetka Maya Angelou wczoraj ryknęła: "Be angry. It's good to be angry, it's healthy" (Bądźcie wściekli. Wściekłość dobrze robi. To zdrowe). Czy mnie robi dobrze, tego nie wiem. Ale wiem, że nie robi dobrze im, czyli tym, którzy podziwiają Osamę ben Ladena, tym, którzy wyrażają mu zrozumienie, sympatię lub solidarność. Swoim życzeniem odpaliłeś ładunek, który już od dawna miał ochotę wybuchnąć. Zobaczysz.

Chcesz również, żebym opowiedziała, jak przeżyłam tę Apokalipsę. Krótko mówiąc, żebym dała świadectwo. Od niego więc zacznę. Byłam w domu - mój dom mieści się w centrum Manhattanu - i punktualnie o 9 odczułam grożące niebezpieczeństwo, które być może nie groziło mi osobiście, ale które na pewno mnie dotyczyło. Odczucie, którego doświadcza się na wojnie, a raczej w bitwie, kiedy wszystkimi porami skóry czujesz nadlatującą kulę lub pocisk i nastawiasz uszu, i krzyczysz do stojącego obok ciebie człowieka: "Down! Get down!" (Na ziemię!). Otrząsnęłam się z niego. Nie mieszkam przecież w Wietnamie, nie byłam przecież w tej chwili na żadnej z tych pieprzonych wojen, które - począwszy od II wojny światowej - posiekały mi życie! Byłam w Nowym Jorku, do diabła, był cudowny wrześnieowy poranek roku 2001. Lecz to wrażenie - niewytłumaczalnie - wciąż trzymało mnie w swoich szponach. I wówczas zrobiłam coś, czego rano nigdy nie robię. Włączyłam telewizor. Fonia nie działała, ale wizja, owszem. I na każdym kanale, a jest ich tu prawie sto, widać było jedną z wież World Trade Center płonąca jak gigantyczna zapałka. Krótkie spięcie? Jakaś zbłąkana awionetka? Czy może przemyślany zamach terrorystyczny? Jak sparaliżowana wpatrywałam się w wieżę bez przerwy, a kiedy się tak wpatrywałam, kiedy powtarzałam sobie te trzy pytania, na monitorze pojawił się samolot. Biały, duży. Samolot pasażerski. Leciał bardzo nisko. Lecąc tak nisko, kierował się w stronę drugiej wieży jak bombowiec, który zawisa nad celem, który zrzuca na niego bombę. Aż zrozumiałam. Zrozumiałam również dlatego, że w tej samej chwili wróciła fonia i usłyszałam chór dzikich wrzasków. Wciąż tych samych, dzikich. "God! Oh, God! Oh, God, God, God! Goooooooood!" (Boże! O Boże! O Boże! Boże, Boże, Booooozeeee!). I samolot wśliznął się w drugą wieżę, jak nóż się wślizguje w kostkę masła.

Była już 9.15. Nie pytaj, co czułam podczas tych piętnastu minut. Nie wiem, nie pamiętam. Byłam jak soplek lodu. Również mój mózg był sopel. Nie pamiętam nawet, co działo się na pierwszej, a co na drugiej wieży. Ludzie, którzy nie chcieli spłonąć żywcem, rzucali się z

okien osiemdziesiątego czy dziewięćdziesiątego piętra. Rozbijali szyby w oknach, przechodzili przez nie, rzucali się w dół, jak z samolotu rzucają się spadochroniarze, i spadali powoli. Trzepocząc nogami i rękami, pływając w powietrzu. Tak, wydawało się, że pływają w powietrzu. I że nie dotrą do celu. Lecz na poziomie trzydziestego piętra przyspieszali. Zaczynali rozpaczliwie gestykulować, jak gdyby żalowali wszystkiego, jak gdyby krzyczeli: "Help! Help!" (Na pomoc!). I być może tak krzyczeli naprawdę. Wreszcie spadali jak kamień i pał! Wiesz, myślałam, że na wojnach widziałam już wszystko. Czułam się zaszczerpiona na wojny, i w gruncie rzeczy to prawda. Nic mnie już nie zaskakuje. Choć czasami się wściekam, a nawet oburzam. Ale na wojnach zawsze widziałam ludzi, których mordowano. Nigdy nie widziałam ludzi, którzy umierają, zabijając samych siebie, czyli rzucając się bez spadochronu z okien osiemdziesiątego, dziewięćdziesiątego albo setnego piętra. Ponadto na wojnach zawsze widziałam rzeczy, które wybuchają. Które wybuchają na wszystkie strony. I zawsze słyszałam wielki huk. A te dwie wieże nie wybuchły. Pierwsza złożyła się, pochłonęła samą siebie. Druga stopiła się, rozpuściła. Pod wpływem temperatury rozpuściła się dokładnie tak jak kostka masła na rozgrzanej patelni. I wszystko to, przynajmniej tak mi się wydawało, wydarzyło się w grobowej ciszy. Czy to możliwe? Czy ta cisza była naprawdę, czy tylko we mnie?

Muszę ci również wyznać, że na wojnach zawsze widziałam niewielu zabitych. Co bitwa, to dwieście czy trzysta zwłok. Najwyżej czterysta. Jak w Wietnamie, w Dak To. A kiedy walka się skończyła, Amerykanie zaczęli ich zbierać, liczyć - nie wierzyłam własnym oczom. Podczas rzezi w Meksyku - tej samej, w której ja również zostałam postrzelona - zebrano co najmniej osiemset trupów. I kiedy, biorąc mnie za zmarłą, wrzucili mnie do kostnicy, wydawało mi się, że wokół mnie jest całe morze zwłok. Cóż, w obu wieżach pracowało prawie pięćdziesiąt tysięcy osób. I bardzo niewiele z nich zdążyło się ewakuować. Windy przestały działać, to oczywiste, a wędrówka na dół z górnych pięter musiałaby trwać całą wieczność. O ile płomień w ogóle by pozwoliły ją podjąć. Nigdy nie poznamy liczby ofiar. (Czterdzieści, czterdzieści pięć tysięcy...?). Amerykanie nigdy tego nie powiedzą. Żeby nie podkreślać rozmiarów tej Apokalipsy. Żeby nie dawać satysfakcji Osamie ben Ladenowi i nie zachęcać do następnych zamachów. A poza tym te dwie czeluście, które pochłonęły dziesiątki tysięcy istnień, są zbyt głębokie. Robotnicy wykopują co najwyżej kawałki poodrywanych części ciała. Tu nos, tam palec. Albo masę, która wygląda jak zmielona kawa, a w rzeczywistości jest materią organiczną. Pozostałość po ciałach, które w mgnieniu oka rozsypują się w pył. Wczoraj burmistrz Giuliani wysłał kolejne dziesięć tysięcy worków, lecz okazały się bezużyteczne.

Co czuję w stosunku do tych kamikadze, którzy zginęli razem z nimi? Żadnego szacunku. Żadnej litości. Tak, nawet litości. Ja, która w każdym przypadku zawsze jej ulegam. Kamikadze, czyli faceci, którzy popełniają samobójstwo po to, żeby zabić innych ludzi, zawsze wydawali mi się antypatyczni - dotyczy to również japońskich kamikadze z czasów II wojny światowej. Nigdy nie uważałam ich za kogoś w rodzaju Pietra Mikki, który zagroził nieprzyjacielskim oddziałom drogę do Turynu, podpalając proch i wylatując w powietrze razem z murami obronnymi [w 1706 r., podczas oblężenia przez wojska francuskie - przyp. tłum.]. Nigdy nie uważałam ich za żołnierzy. A tym bardziej za męczenników czy bohaterów, jak w 1972 roku, wrzeszcząc i plując, określił ich pan Arafat (podczas wywiadu, który przeprowadziłam z nim w Ammanie - w miejscu, gdzie jego sierżanci szkolili również terrorystów z grupy Baader Meinhof). Uważam ich za zarozumiałców, i tyle. Zarozumiałców, którzy zamiast szukać sławy w kinematografii, w polityce lub sporcie, szukają jej w śmierci własnej i innych. W śmierci, która zamiast statuetki Oscara, funkcji ministra czy mistrzostwa kraju przyniesie im (jak wierzą) podziw. A w przypadku tych, którzy modlą się do Allaha -

miejsce w Raju, o którym mówi Koran: w Raju, gdzie bohaterowie pieprzą hurysy. Założę się, że ta zarozumiałość dotyczy również ich wyglądu. Mam przed oczami fotografię dwóch kamikadze, o których piszę w "Inszallahu": powieści, która rozpoczyna się od zniszczenia bazy amerykańskiej (ponad czterysta ofiar) i bazy francuskiej (ponad trzysta pięćdziesiąt) w Bejrucie. To zdjęcie kazali sobie zrobić, zanim poszli na śmierć, i zanim poszli na śmierć, poszli też do fryzjera. Cóż za wspaniała fryzura. Jakie wypomadowane wąsy, przylizane bródki, jakie zalotne baczki...

Ach! Jak by się skręcał pan Arafat, gdyby mnie teraz słyszał. Wiesz, pomiędzy nim a mną nie układa się najlepiej. Nigdy mi nie wybaczył ani przepastnej różnicy poglądów, która wyszła na jaw podczas tamtego spotkania, ani opinii, jaką o nim wyraziłam w mojej książce "Wywiad z historią". Co do mnie, nie wybaczyłam mu nigdy niczego. Między innymi tego, że jednemu z dziennikarzy włoskich, który nieopatrznie przedstawił się mu jako "mój przyjaciel", przystawiono do serca rewolwer. Więc się już nie spotykamy. A szkoda. Bo gdybym znów się z nim zobaczyła, a raczej gdybym udzieliła mu audiencji, wykrzyczałabym mu w pysk, kim są męczennicy i bohaterowie. Wrzeszczałabym: "Wielmożny Panie Arafat, męczennikami są pasażerowie czterech uprowadzonych samolotów zamienionych w żywe bomby. Wśród nich czteroletnia dziewczynka unieczestwiona w drugiej wieży. Wielmożny Panie Arafat, męczennikami są urzędnicy, którzy pracowali w obu wieżach i w Pentagonie. Wielmożny Panie Arafat, męczennikami są strażacy, którzy zginęli, próbując ich uratować. I wie Pan, kto jeszcze zalicza się do tego grona? Pasażerowie samolotu, który miał runąć na Biały Dom, a który rozbił się w lesie w Pensylwanii, ponieważ oni podjęli walkę! Dla nich - owszem - przydałby się Raj, Wielmożny Panie Arafat. Kłopot w tym, że teraz to Pan robi za głowę państwa ad perpetuum. Robi Pan za monarchę. Składa Pan wizytę Papieżowi, twierdzi Pan, że nie lubi terroryzmu, przesyła Pan Bushowi wyrazy współczucia. I w swojej kameleonowej umiejętności zaprzeczania samemu sobie byłby Pan zdolny powiedzieć mi, że mam rację". Lecz zmieńmy temat. Ja, jak wiadomo, jestem bardzo chora, i na samą myśl o spotkaniu z różnymi Arafatami dostaję gorączki.

Wolę mówić o nietykalności, jaką wiele osób przypisywało Ameryce. Nietykalność? Jaka nietykalność?!? Im bardziej społeczeństwo jest demokratyczne i otwarte, tym bardziej jest narażone na terroryzm. Im bardziej jakiś kraj jest wolny, im dalszy od reżimu policyjnego, tym większe ponosi ryzyko i tym częściej doświadcza porwań i rzezi, które przez wiele lat miały miejsce we Włoszech, w Niemczech i innych regionach Europy. I które teraz, w wyolbrzymionym rozmiarze, mają miejsce w Ameryce. Nie bez powodu kraje niedemokratyczne, zarządzane przez reżimy policyjne, zawsze gościły i finansowały terrorystów i teraz pomagają im, jak mogą. Na przykład Związek Radziecki, kraje jego obozu i Chiny Ludowe. Libia Kadafiego, Irak, Iran, Syria, Arafatowski Liban, sam Egipt, sama Arabia Saudyjska, której poddanym jest Osama ben Laden, sam Pakistan, oczywiście Afganistan i wszystkie muzułmańskie regiony Afryki. Na lotniskach i w samolotach tych krajów zawsze czułam się bezpieczna. Spokojna jak śpiący noworodek. Bałam się jedynie aresztowania, ponieważ źle pisałam o terrorystach. A na lotniskach i w samolotach europejskich zawsze byłam podenerwowana. Na lotniskach i w samolotach amerykańskich wręcz zdenerwowana. A w Nowym Jorku nerwowa po dwakroć. (W Waszyngtonie nie. Muszę to przyznać. Tego, że samolot może spaść na Pentagon, naprawdę się nie spodziewałam). Krótko mówiąc, moim zdaniem to nigdy nie był problem "czy", lecz "kiedy". Jak myślisz, dlaczego we wtorek rano moja podświadomość odnotowała ten niepokój, tę groźbę? Jak myślisz, dlaczego wbrew moim zwyczajom włączyłam telewizor? Jak myślisz, dlaczego wśród pytań, jakie sobie stawiałam, kiedy płonęła pierwsza wieża i nie było fonii, pojawiło się pytanie o zamach? A dlaczego na widok drugiego samolotu od razu wszystko

stało się dla mnie jasne? Dlatego, że Ameryka jest najpotężniejszym krajem na świecie, najbogatszym, najsilniejszym, najbardziej nowoczesnym, prawie wszyscy wpadli w te sidła. Czasami wpadali w nie również sami Amerykanie. Lecz kruchość Ameryki rodzi się właśnie z jej siły, z jej bogactwa, z jej potęgi, z jej nowoczesności. Jak w starej historii o psie, który pożera własny ogon.

Rodzi się również z wieloetnicznej istoty Ameryki, z jej liberalizmu, z szacunku dla obywateli i gości. Przykład: prawie dwadzieścia cztery miliony Amerykanów to Arabowie - muzułmanie. I kiedy jakiś Mustafa czy Mohammed przybywa tu, dajmy na to, z Afganistanu w odwiedziny do wujka, nikt mu nie zabroni podjąć nauki w szkole pilotażu i nauczyć się obsługi boeinga 757. Nikt mu nie broni zapisać się na uniwersytet (mam nadzieję, że to się zmieni) i studiować chemię oraz biologię - dyscypliny niezbędne do wywołania wojny bakteriologicznej. Nikt. Nawet jeśli rząd się obawia, że ten syn Allaha uprowadzi boeinga 757 albo wrzuci fiolkę z bakteriami do zbiornika wody i wywoła epidemię. (Mówię "jeśli", ponieważ tym razem rząd nic nie wiedział, a wpadka CIA i FBI razem wziętych przekracza wszelkie dopuszczalne granice. Gdybym była prezydentem Stanów Zjednoczonych, wykopałabym ich wszystkich za kretynizm). Ale wróćmy do początkowego wątku. Jakie są symbole siły, bogactwa, potęgi i nowoczesności Ameryki? Nie jazz, nie rock and roll, guma do żucia, hamburger, Broadway czy Hollywood, lecz jej wieżowce. Jej Pentagon. Jej nauka. Jej technologia. Te wspaniałe wieżowce, takie wysokie, takie piękne, że kiedy unosisz wzrok, jesteś skłonny zapomnieć o piramidach i o boskich przybytkach naszej przeszłości. Te gigantyczne, przesadnie wielkie samoloty, których używają tak samo, jak kiedyś używali żaglowców i ciężarówek, ponieważ teraz już w żadnej dziedzinie życia nie mogą się obyć bez samolotów. W żadnej. Poczta, świeże ryby, my sami. (A nie zapominaj, że to oni wynaleźli wojnę lotniczą. A przynajmniej rozwinęli do historycznych rozmiarów). Ten przerażający Pentagon, ta forteca, która budzi strach już na pierwszy rzut oka. Ta wszechobecna i wszechmocna nauka. Ta niewiarygodna technologia, która w ciągu niewielu lat przewróciła zasady naszego codziennego funkcjonowania, nasze tysiącletnie sposoby komunikowania, jedzenia, życia. I gdzie ich ugodził szacowny Osama ben Laden? W wieżowce, w Pentagon. Jak? Samolotami, zdobyciami naukowymi, technologią. By the way: czy wiesz, co mnie najbardziej zdumiewa w tym ponurym ultramiliarderze, w tym niezrealizowanym playboyu, który zamiast zalecać się do jasnowłosych księżniczek i szaleć w nocnych klubach (jak to robił w Bejrucie, kiedy miał dwadzieścia lat), zabawia się, mordując w imię Mahometa i Allaha? Fakt, że jego bezkresny majątek pochodzi również z dochodów korporacji wyspecjalizowanej w burzeniu i że on sam jest doświadczonym burzycielem. Demolka jest specjalnością amerykańską.

Kiedy się spotkaliśmy, wydawałeś się niemal zdumiony heroiczną sprawnością i godną podziwu solidarnością, z jaką Amerykanie stawili czoło tej Apokalipsie. O, tak. Mimo wad, które są jej bez przerwy wytykane i które ja sama jej wyrzucam (pomimo że europejskie, a zwłaszcza włoskie, wady są jeszcze bardziej poważne), Ameryka jest krajem, który może nauczyć nas wielkich rzeczy. Rępropos tej heroicznej sprawności, pozwól mi wyśpiewać pean na cześć burmistrza Nowego Jorku. Tego Rudolpha Giulianiego, któremu my, Włosi, powinniśmy dziękować na klęczkach. Ponieważ nosi włoskie nazwisko, z pochodzenia jest Włochem i przed całym światem wystawia nam najlepsze świadectwo. To wielki, naprawdę bardzo wielki burmistrz ten Rudolph Giuliani. Mówi ci to osoba, która nigdy nie jest zadowolona z niczego i nikogo, poczynając od siebie samej. Jest godny innego wielkiego burmistrza o włoskim nazwisku - Fiorella La Guardia - i wielu naszych burmistrzów powinno się zgłosić do niego po lekcję. Stanąć przed nim z pochyloną głową, posypać ją sobie popiołem i spytać: "Panie Giuliani, jak to się robi?". On nie zrzuca na nikogo swoich

obowiązków. Nie traci czasu na pierdoły i na podział łupów. Nie dzieli własnej osoby na funkcję burmistrza, ministra i posła. (Czy ktoś mnie słucha w trzech miastach Stendhala, czyli w Neapolu, Florencji i Rzymie?). Pojawił się natychmiast i kiedy wbiegł do drugiego drapacza chmur, ryzykował, że wraz z innymi zamieni się w proch. Uratował się przez przypadek, o włos. I w ciągu czterech dni przywrócił miasto do życia. Miasto, które - pamiętaj! - ma dziewięć i pół miliona mieszkańców, prawie dwa miliony na samym Manhattanie. Jak tego dokonał, nie wiem. Biedak, jest chory jak ja. Rak ze swoimi nawrotami dorwał również jego. I tak jak ja udaje, że jest zdrowy - pracuje mimo wszystko. Ale ja pracuję przy stoliku, na siedząco, do diabła! A on... Wyglądał jak generał, który osobiście bierze udział w bitwie. Jak żołnierz, który rzuca się z bagnetem do ataku. "Do roboty, ludzie! Zakaszmę rękawy, szybko!". Ale udało mu się, ponieważ ci ludzie byli, są tacy sami jak on. Ludzie, którzy nie znają znużenia, gnuśności, ludzie - jak by powiedział mój ojciec - z jajami. Co do niezwyklej jedności, niemal wojennej zwartości szeregów, którą Amerykanie demonstrują wobec tragedii i wobec wroga, to cóż - muszę przyznać, że zaskoczyła ona mnie samą. Owszem, wiedziałam, że dała o sobie znać w okresie Pearl Harbor, czyli wtedy, gdy naród skupił się wokół Roosevelta, a Roosevelt podjął walkę z hitlerowskimi Niemcami, z Włochami Mussoliniego i z Japonią cesarza Hirohito. Owszem, poczułam ją po zabójstwie Kennedy'ego. Ale potem była wojna w Wietnamie, rozdzierające podziały wywołane wojną w Wietnamie i w pewnym sensie to przypomniało mi ich wojnę secesyjną sprzed półtora wieku. I tak, kiedy zobaczyłam, jak biali i czarni obejmują się i wspólnie płaczą (powtarzam: obejmują się), kiedy widziałam, jak demokraci i republikanie obejmują się i śpiewają "God save America" (Boże, ocal Amerykę), kiedy widziałam, jak zacierają wszystkie różnice, oniemiałam. To samo, kiedy usłyszałam, jak Bill Clinton (osoba, do której nigdy nie miałam słabości) deklaruje: "Zacieśnijmy szeregi wokół George'a Busha, ufajcie naszemu prezydentowi". To samo, kiedy te same słowa powtórzyła dobitnie jego żona Hillary, obecnie senator stanu Nowy Jork. To samo, kiedy powtórzył je Lieberman, były kandydat Demokratów na wiceprezydenta. (Tylko przegrany Al Gore trwał w sromotnym milczeniu). I to samo, kiedy Kongres jednomyślnie przegłosował wojnę, ukaranie winnych. Ach, gdyby tak Włochy zechciały wyciągnąć z tego naukę! Włochy są tak podzielone. Tak rozbite, tak zatrute swoimi plemiennymi małostkami! We Włoszech nienawidzą się nawet przedstawiciele tej samej partii. Nie umieją być razem nawet wtedy, gdy mają ten sam emblemat, ten sam symbol, do diabła! Zawistni, zgorzkniali, próżni, mali, myślą wyłącznie o swoich prywatnych interesach. O swoich marnych karierach, o swojej nędznej chwale, o swojej lokalnej wielkości. Dla osobistych interesów robią sobie nawzajem na złość, zdradzają się, oskarżają, kurwią... Jestem absolutnie przekonana, że gdyby Osama ben Laden wysadził w powietrze wieżę Giotto [należącą do katedry we Florencji - przyp. tłum.] albo wieżę w Pizie, opozycja oskarżyłaby o to rząd. A rząd oskarżyłby opozycję. Szefowie rządu i opozycji oskarżyliby własnych kolegów i towarzyszy. A teraz pozwól sobie wytłumaczyć, skąd bierze się ta jedność, która cechuje Amerykanów.

Rodzi się z ich patriotyzmu. Nie wiem, czy we Włoszech widzieliście i zrozumieliście to, co wydarzyło się w Nowym Jorku, kiedy Bush poszedł podziękować robotnikom (i robotnicom), którzy przeszukując zgliszczą obu wież, usiłują ocalić żywych ludzi, lecz wykopują jedynie nosy i palce. A jednak nie ustępują. Nie rezygnują. A kiedy spytasz ich, jak to robią, odpowiedzą: "I can allow myself to be exhausted not to be defeated" (Mogę sobie pozwolić na zmęczenie, ale nie na porażkę). Wszyscy. Młodzi, nieletni, starzy, w średnim wieku. Biali, czarni, żółci, brązowi, fioletowi... Widzieliście czy nie? Kiedy Bush im dziękował, machali tylko amerykańskimi sztandarami i wznosili zaciśnięte pięści z groźnym pomrukiem: "Ju-e-sej! Ju-e-sej! Ju-e-sej! USA! USA! USA!". Gdyby chodziło o kraj totalitarny, pomyślałabym: "Ale ich dobrze zorganizowali!". Jednak nie w Ameryce. W Ameryce takich rzeczy się nie

organizuje. Nie nakazuje się ich, nie zarządza. Zwłaszcza w metropolii tak bardzo pozbawionej złudzeń jak Nowy Jork, w której mieszkają tacy robotnicy jak nowojorscy. Robotnicy nowojorscy to wyjątkowe typy. Bardziej wolni od wiatru, nie do utrzymania. Nie słuchają nawet swoich związków zawodowych. Ale spróbuj tknąć ich flagę, Ojczyznę... W języku angielskim nie ma słowa "Ojczyzna". Żeby powiedzieć "Ojczyzna", trzeba złożyć dwa słowa, np. Father Land, Ziemia Ojców. Mother Land, Ziemia Macierzysta. Native Land, Ziemia Rodzinna. Albo powiedzieć po prostu My Country, Mój Kraj. Ale rzeczownik "patriotism" istnieje. Przymiotnik "patriotic" istnieje. I oprócz Francji chyba nie umiem wyobrazić sobie bardziej patriotycznego kraju niż Ameryka. Ach! Tak bardzo się wzruszyłam, widząc tych robotników, którzy zaciskając pięści i pomachując flagą, warczeli "Ju-e-sej! Ju-e-sej! Ju-e-sej!", choć nikt im tego nie kazał. I odczułam coś w rodzaju upokorzenia, ponieważ robotników włoskich, którzy powiewają własną trójkolorową flagą i pomrukują "Italia! Italia!", jakoś nie umiem sobie wyobrazić. Na pochodach i wiecach widziałam, jak wymachują czerwonymi flagami. Rzeki, jeziora czerwonych sztandarów. Ale trójkolorowych sztandarów widziałam bardzo niewiele. Ani jednego. Źle kierowani lub tyranizowani przez arogancką lewicę oddaną Związkowi Radzieckiemu trójkolorowe flagi zawsze pozostawiali wrogom. A wrogowie nie robili z nich raczej dobrego użytku. Dzięki Bogu nie zrobili z nich również złego. A ci, którzy chodzą na mszę, to samo. A cham w zielonej koszuli i pod zielonym krawatem w ogóle nie wie, jakie są te trzy kolory: "Jestem Lombardczykiem!". On chciałby nas cofnąć do czasu wojen pomiędzy Florencją a Sieną. W rezultacie włoskie flagi widać dziś tylko na olimpiadzie, jeżeli przypadkiem uda się zdobyć jakiś medal. Co gorsza, widać je na stadionach podczas międzypaństwowych meczów piłkarskich. Jest to zresztą również jedyna okazja, żeby usłyszeć okrzyki: "Italia! Italia!".

Ech! Istnieje duża różnica pomiędzy krajem, w którym flagą Ojczyzny wymachują tylko chuligani na stadionie, a krajem, w którym powiewa nią cały naród. Na przykład niepokorni robotnicy, którzy drążą zgliszcza, żeby wydobyć jakieś ucho czy nos ludzi zamordowanych przez synów Allaha. Lub po to, żeby zebrać tę zmieloną kawę.

Mój drogi, to fakt, że Ameryka jest szczególnym krajem. Krajem, któremu można pozazdrościć rzeczy niemających nic wspólnego z bogactwem. Dlatego że powstał z potrzeby duszy, z potrzeby posiadania ojczyzny, a także z idei najbardziej wzniosłej, jaką kiedykolwiek pomyślał człowiek: z idei wolności, i to splecionej z ideą równości. A także dlatego, że w tamtych czasach idea wolności wcale nie była modna. Idea równości również. O takich rzeczach mówili tylko niektórzy filozofowie oświecenia. Takie koncepty można było znaleźć tylko w kosztownym tomiszczu w odcinkach nazywanym Encyklopedią. I oprócz pisarzy i innych intelektualistów, oprócz książąt i jaśniepanów, którzy mieli pieniądze, żeby kupić to tomiszcz lub książki, które zainspirowały jego autorów, kto miał pojęcie o oświeceniu? Tym nie można było napęścić brzucha! O oświeceniu nie mówili nawet francuscy rewolucjoniści, a poza tym rewolucja francuska miała wybuchnąć w 1789 roku, czyli trzynastcie lat po rewolucji amerykańskiej, która wybuchła w roku 1776. (To inny szczegół, o którym anty-Amerykanie z gatunku dobrze-im-tak nie wiedzą albo udają, że zapomnieli. Obłudnicy).

To kraj szczególny, kraj godny zazdrości, również dlatego, że ta idea została zrozumiana przez rolników, nierzadko analfabetów, w każdym razie ludzi niewykształconych. Rolników z kolonii amerykańskich. I dlatego że została zrealizowana przez małą grupę nadzwyczajnych liderów: przez ludzi wielkiej kultury i wielkiej wartości. The Founding Fathers, Ojców Założycieli. Ale czy masz pojęcie, kim byli Ojcowie Założyciele, Franklinowie, Jeffersonowie, Paine'owie, Adamsowie, Washingtonowie i im podobni? To nie adwokacyny (jak słusznie nazywał ich Vittorio Alfieri), uczestnicy rewolucji francuskiej! [Vittorio Alfieri -

XVIII-wieczny pisarz włoski - red.]. To nie ponurzy i histeryczni kaci Terroru, to nie Marat, Danton, Saint-Just, Robespierre! Ojcowie Założyciele byli ludźmi, którzy grekę i łacinę znali tak jak włoscy nauczyciele greki i łaciny (o ile tacy jeszcze istnieją) nigdy się nie nauczyli. Ludzie, którzy po grecku czytali Arystotelesa i Platona, po łacinie czytali Senekę i Cyncerona, którzy zasady demokracji greckiej zgłębili tak, jak w moich czasach nawet marksści nie przestudiowali teorii nadbudowy. (Zakładając, że w ogóle ją studiowali). Jefferson znał również włoski (nazywał go tokańskim). Po włosku mówił i pisał bardzo swobodnie. I razem z dwoma tysiącami szczepów winnych i tysiącem szczepów drzew oliwnych oraz papierem nutowym, którego w Wirginii brakowało, w 1774 roku florentczyk Filippo Mazzei przywiózł mu kilka egzemplarzy książki napisanej przez niejakiego Cesare Beccarię, zatytułowanej "O przestępstwach i karach" [Cesare Beccaria - XVIII-wieczny prawnik i ekonomista włoski - red.]. Co do samouka Franklina, był geniuszem. Uczony, drukarz, wydawca, pisarz, dziennikarz, polityk, wynalazca. W 1752 roku odkrył elektryczną naturę pioruna i wynalazł piorunochron. To niemało. I to razem z tymi nadzwyczajnymi liderami, z tymi wartościowymi ludźmi, rolnicy analfabeci, w każdym razie ludzie niewykształceni, zbuntowali się w 1776 roku przeciw Anglii. Proklamowali wojnę o niepodległość, rewolucję amerykańską.

Cóż... Pomimo użycia karabinów i prochu strzelniczego, pomimo ofiar, którymi przypłaca się każdą wojnę, nie popłynęły wówczas rzeki krwi tak charakterystyczne dla późniejszej rewolucji francuskiej. Nie użyli gilotyn i nie dokonali masakr, jakie znamy z Wandeii. Przeprowadzili to za pomocą kartki papieru, która razem z duchową potrzebą posiadania ojczyzny urzeczywistniała wzniosłą ideę wolności, i to splecionej z równością - Deklaracji Niepodległości. "We hold these truths to be self-evident..." (Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście, że celem zabezpieczenia tych praw wyłonione zostały spośród ludzi rządy...). I ta kartka papieru, którą - począwszy od rewolucji francuskiej - wszyscy lepiej lub gorzej skopiowaliśmy lub którą się inspirowaliśmy, wciąż jest kręgosłupem Ameryki. Żywotnym sokiem tego narodu. Czy wiesz dlaczego? Bo poddanych zmienia w obywateli. Bo plebejuszy zmienia w Naród. Bo ich zachęca, a wręcz nakazuje, by sami sobą zarządzili, by wyrazili własne indywidualne różnice, by szukali własnego szczęścia. W przeciwieństwie do tego, co czynił komunizm, który zabraniał ludziom buntu, samorządności, swobody wypowiedzi, bogacenia się i zastąpił tradycyjnych królów Jego Wysokością Państwem. "Komunizm jest reżimem monarchicznym, monarchią starej daty. I jako taki obcina ludziom jaja. A człowiek bez jaj już nie jest człowiekiem" - mawiał mój ojciec. Mawiał również, że zamiast wywyższać plebejuszy, komunizm wszystkich zamieniał w plebs. Ze wszystkich robił zdechłaków.

Cóż, moim zdaniem Ameryka wywyższa plebs. W Ameryce wszyscy są plebejuszami. Biali, czarni, żółci, brązowi, fioletowi, głupi, inteligentni, biedni, bogaci. A największymi plebejuszami są bogacze. W większości przypadków, co za prostaki. Gruboskórni, chamscy. Od razu widać, że nie czytali podręczników savoir-vivre'u, że nigdy nie mieli nic wspólnego z wyrafinowaniem, dobrym gustem czy z sophistication. Pomimo pieniędzy, które trwonią na ubrania, są tak nieelegancy, że w porównaniu z nimi nawet królowa Anglii wydaje się sztywna. Ale są wyzwoleni, do diabła. A na tym świecie nie ma nic silniejszego, potężniejszego od wyzwolonego plebsu. Zawsze połamiesz sobie rogi o Wyzwolony Plebs. A o Amerykę połamiali już sobie rogi wszyscy. Anglicy, Niemcy, Meksykanie, Rosjanie, naziści, faszyci, komuniści. Jako ostatni połamiali je sobie Wietnamczycy, którzy po swoim zwycięstwie musieli pójść z Amerykanami na układy, więc kiedy Wietnamczykom składa wizytę był prezydent Stanów Zjednoczonych, wydaje im się, że chwycili Pana Boga za nogi.



"Bienvenu, Monsieur le President, bienvenu!". Problem w tym, że Wietnamczycy nie modlą się do Allaha. A z dziećmi Allaha przeprawa będzie ciężka. Bardzo długa i bardzo ciężka. Chyba że reszta Zachodu przestanie robić pod siebie. I zreflektuje się, i udzieli Ameryce pomocy.

Nie mówię, rzecz jasna, do hien, które się cieszą na widok zgliszcz i rechocą: "Dobrze-tak-Amerykanom-dobrze-im-tak". Mówię do osób, które choć nie są głupie i złe, wciąż jeszcze bujają w ostrożności i wątpliwościach. Do nich mówię: Ludzie, obudźcie się! Zahukani przez strach, nieskłonnii płynąć pod prąd, czyli ściągnąć na siebie oskarżenie o rasizm (słowo zresztą niewłaściwe, ponieważ tu nie chodzi o rasę, lecz o religię), nie rozumiecie lub nie chcecie zrozumieć, że właśnie się toczy Krucjata, tyle że na odwrót. Przyzwyczajeni do podwójnej gry, zaślepieni krótkowzrocznością nie rozumiecie lub nie chcecie zrozumieć, że właśnie toczy się wojna religijna. Której chce i którą wypowiada być może tylko odłam tamtej religii, lecz i tak jest to wojna religijna. Wojna, którą oni nazywają dżihad. Święta Wojna. Wojna, której celem być może nie jest zdobycie naszych terytoriów, lecz której celem z pewnością jest podbój naszych dusz. unicestwienie naszej wolności i naszej cywilizacji. Zniszczenie naszego sposobu życia i śmierci, naszego sposobu modlenia się lub niemodlenia, naszego sposobu jedzenia, picia, ubierania, rozrywki i przekazu informacji... Nie rozumiecie albo nie chcecie zrozumieć, że jeśli się nie przeciwstawimy, jeśli nie będziemy się bronić, walczyć, to dżihad zwycięży. I zniszczy świat, który lepiej lub gorzej udało się nam zbudować, zmienić, ulepszyć, uczynić nieco bardziej inteligentnym, czyli mniej bigoteryjnym lub całkowicie wolnym od bigoterii. I tym samym zniszczy naszą kulturę, naszą sztukę, naukę, moralność, nasze wartości, nasze przyjemności... Jezu! Czy nie zdajecie sobie sprawy, że ludzie tacy jak Osama ben Laden czują się uprawnieni do tego, żeby zabijać was i wasze dzieci tylko dlatego, że pijecie wino lub piwo, że nie nosicie długiej brody albo czarczafu, chodzicie do teatru i kina, słuchacie muzyki i śpiewacie piosenki, dlatego że tańczycie w dyskotekach albo we własnym domu, bo oglądacie telewizję, nosicie minispódniczki albo krótkie skarpetki, bo w morzu albo w basenie stoicie nago lub prawie, bo pieprzycie się, kiedy macie ochotę, gdzie macie ochotę i z kim macie ochotę? Nawet to was nie obchodzi, idioci? Dzięki Bogu jestem ateistką. I nie mam najmniejszego zamiaru dać się zabić za to, że jestem, jaka jestem.

Od dwudziestu lat to mówię, od dwudziestu lat. W miarę łagodnie, bez tej pasji, dwadzieścia lat temu napisałam o tym artykuł do "Corriere della Sera". Był to artykuł osoby przyzwyczajonej do koegzystencji ze wszystkimi rasami i ze wszystkimi wyznaniem, obywatelki przyzwyczajonej do zwalczania wszelkich faszystów i wszelkich nietolerancji, laika, dla którego nie istnieją tabu. Lecz był to również artykuł osoby oburzonej na wszystkich, którzy nie czuli smrodu zbliżającej się Świętej Wojny, wojny, która dzieciom Allaha wybaczała aż nazbyt wiele. Dwadzieścia lat temu przeprowadziłam mniej więcej takie rozumowanie. "Jaki sens ma szacunek dla kogoś, kto nas nie szanuje? Jaki jest sens bronić ich kultury lub ambicji posiadania kultury, skoro oni pogardzają naszą? Ja chcę bronić naszej i informuję was, że wolę Dantego Alighieri od Omara Chajjama" [perskiego poety, matematyka i filozofa, żyjącego na przełomie XI i XII w. - red.]. Rozstała się ziemia. "Rasistka! Rasistka!". Prawie mnie ukrzyżowali, i to wciąż ci sami rzecznicy postępu (w tamtych czasach nazywali się komunistami). Zresztą ta obelga spotkała mnie również wtedy, gdy Sowietci najechali na Afganistan. Pamiętasz tych brodaczy w burnusach i turbanach, którzy za każdym naciśnięciem cyngla wykrzykiwali pochwały Pana? "Allah akbar! Allah akbar!". Ja pamiętam ich dobrze. A kiedy tak kojarzyli słowo "Bóg" z naciskaniem cyngla, przechodziły mnie dreszcze. Wydawało mi się, że to średniowiecze, i mówiłam: "Sowieci są, jacy są. Ale trzeba przyznać, że prowadząc tę wojnę, bronią również nas. I jestem im

wdzięczna". Znow rozstała się ziemia. "Rasistka! Rasistka!". W swoim zaślepieniu nie chcieli nawet słuchać, jak mówiłam o potwornościach, które synowie Allaha popełniali na jeńcach wojennych. (Odcinali im ręce i nogi, pamiętasz? Przyjemność, której się dopuszczali już w Libanie na jeńcach chrześcijańskich i żydowskich). Nie chcieli, żebym o tym mówiła, nie. I tylko po to, żeby uchodzić za ludzi postępu, bili brawo Amerykanom ogłupiałym ze strachu przed Związkiem Radzieckim i szpikowali bronią bohaterski-naród-afgański. Szkolili brodaczy, a razem z brodacami superbrodacza Osame ben Ladena. Rosjanie-precz-z-Afganistaaaanu! Rosjanie-muszą-opuścić-Afganistaaaan! No i Rosjanie poszli sobie z Afganistanu: i co, już wszystko w porządku? I brodacze superbrodacza Osamy ben Ladena przybyli z Afganistanu do Nowego Jorku, razem z ogolonymi Syryjczykami Egipcjanami Irakijczykami Libańczykami Palestyńczykami Saudyjczykami, którzy złożyli się na bandę dziesiętnastu zidentyfikowanych kamikadze: już wszystko w porządku? Gorzej: teraz dyskutuje się nad bliskim atakiem, który uderzy w nas bronią chemiczną, biologiczną, radioaktywną, nuklearną. Mówi się, że nowa rzeź jest nieunikniona, ponieważ Irak dostarcza im materiału. Mówi się o szczepieniach, o maskach gazowych, o dżumie. W powietrzu wisi pytanie, kiedy to nastąpi... Już wszystko w porządku?

Niektórzy nie są ani zadowoleni, ani niezadowoleni. Nie obchodzi ich to. Ameryka jest przecież daleko, między Europą a Ameryką jest ocean... O nie, moi drodzy. Nie. Jest strużka wody. Ponieważ kiedy gra toczy się o los Zachodu, o przetrwanie naszej cywilizacji, to Nowym Jorkiem jesteśmy my sami. Ameryka to my. My, Włosi, my, Francuzi, my, Anglicy, my, Niemcy, my, Austriacy, my, Węgrzy, my, Słowacy, my, Polacy, my, Skandynawowie, my, Belgowie, my, Hiszpanie, my, Grecy, my, Portugalczycy. Jeśli runie Ameryka, runie Europa. Kiedy runie Zachód, runiemy my. I to nie tylko w znaczeniu finansowym, czyli w tym, który chyba najbardziej was martwi. (Kiedyś, kiedy byłam młoda i naiwna, powiedziałam do Arthura Millera: "Amerykanie mierzą wszystko pieniędzmi, myślą tylko o pieniądzach". Arthur Miller odpowiedział: "A wy nie?"). Upadniemy we wszystkich znaczeniach, mój drogi. I na miejscu dzwonów zobaczymy muezinów, zamiast minispódniczek będziemy nosili czarczafy, zamiast koniaku będziemy pili wielbłądzie mleko. To również do was nie przemawia? Nawet tego nie chcecie zrozumieć?!? Blair zrozumiał. Przyleciał tutaj i przywiózł, a raczej odnowił wobec Busha zapewnienie o solidarności Anglików. Solidarności wyrażonej nie gadulstwem i zawodzeniem - solidarności, która polega na polowaniu na terrorystów i na wojskowym sojuszu. Chirac tego nie zrobił. Jak wiesz, w ubiegłym tygodniu był tutaj z wizytą oficjalną.

Wizytą planowaną od dawna, nie wizyta ad hoc. Zobaczył zgliszcza obu wież, dowiedział się, że liczby ofiar nie da się ustalić, a raczej wypowiedzieć, ale to nie wyprowadziło go z równowagi. Podczas wywiadu, którego udzielił CNN, moja przyjaciółka Cristiana Amanpour cztery razy zadała mu pytanie, w jaki sposób i w jakim stopniu zamierza wystąpić przeciw temu dżihadowi, i czterokrotnie Chirac uniknął odpowiedzi. Wywinął się jak węgorz. Chciało się krzyknąć: "Monsieur le President! Czy pamięta Pan desant w Normandii? Czy Pan wie, ilu Amerykanów poległo w Normandii, żeby wyrzucić nazistów również z Francji?". Wylączając Blaira, również wśród pozostałych Europejczyków nie widzę zresztą żadnego Ryszarda Lwie Serce. A przede wszystkim we Włoszech, gdzie rząd nie zidentyfikował, czyli nie aresztował, żadnego współnika lub podejrzanego o współnictwo z Osamą ben Ladenem. Na Boga, Szanowny Panie Premierze! Pomimo strachu przed wojną w każdym kraju Europy został wskazany i aresztowany jakiś współnik Osamy ben Ladena. We Francji, w Niemczech, Anglii, Hiszpanii... Ale we Włoszech, gdzie meczety Mediolanu, Turynu i Rzymu roją się od łajdaków, którzy wznoszą hymny ku czci Osamy ben Ladena, od terrorystów, którzy tylko czekają, żeby wysadzić kopułę Bazyliki św. Piotra - nikt. Zero. Nic. Nikt. Proszę mi

wytłumaczyć, Szanowny Panie Premierze: czy Pańscy policjanci i żandarmi są tak nieporadni? Pańskie służby specjalne są aż tak bardzo do dupy? Pańscy funkcjonariusze są aż tak głupi? I wszyscy synowie Allaha, którym udzielamy gościny, są tacy święci? Żaden z nich nie miał nic wspólnego z tym, co się wydarzyło i dzieje? A może boi się Pan, że za słuszne dochodzenie, za odnalezienie i aresztowanie tych, których dotychczas nie znaleźliście i nie aresztowaliście, grozi Panu tradycyjne oskarżenie: "Rasista! Rasista!""? Ja, jak Pan widzi, nie.

Jezu! Nie odmawiam nikomu prawa do strachu. Tylko kretyn nie boi się wojny. A ci, którzy chcą pokazać, że nie boją się wojny - pisałam o tym już tysiąc razy - są kretynami i oszustami za jednym zamachem. Ale w Życiu i w Historii są przypadki, w których nie wolno się bać. Przypadki, w których bać się jest niemoralnie i nieobywatelsko. A ci, którzy z powodu słabości lub braku odwagi lub siłą nawyku chcą pozostać pośrodku i w ten sposób uniknąć tragedii, wydają mi się masochistami.

Właśnie tak, masochistami. Dlaczego mówimy o tym, co ty nazywasz "Różnicami-pomiędzy-dwoma-Kulturami"? Cóż, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, irytuje mnie nawet mówienie o dwóch kulturach, to, że stawia się je na jednym poziomie, jak gdyby to były dwie równoległe rzeczywistości, podobnej wagi i miary. Ponieważ za naszą cywilizacją stoi Homer, Sokrates, Platon, Arystoteles, Fidiasz, na Boga. Jest starożytna Grecja ze swoim Partenonem i ze swoim odkryciem Demokracji. Jest starożytny Rzym ze swoją potęgą, ze swoimi prawami, ze swoim pojęciem Prawa. Jego rzeźby, jego literatura, architektura. Jego pałace i jego amfiteatry, jego akwedukty i mosty, jego drogi. Jest rewolucjonista, ten Chrystus, który umarł na krzyżu, który nas uczył (a jeśli się nie nauczyliśmy, to trudno!) takich pojęć jak miłość i sprawiedliwość. Jest Kościół, który, zgoda, sprezentował mi inkwizycję. Który mnie torturował i spalił tysiąc razy na stosie, zgoda. Który przez wieki mnie prześladował, przez wieki zmuszał mnie, by rzeźbić i malować jedynie Chrystusy i Madonny, który prawie zamordował mi Galileusza. Upokorzył mi go, zagłuszył. Ale miał również swój wielki wkład w Historię Myśli: tak czy nie? Za naszą cywilizacją jest jeszcze renesans. Jest Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Rafael, jest muzyka Bacha, Mozarta, Beethovena. I tak dalej, aż po Rossiniego, Donizettiego, Verdiego and Company. Ta muzyka, bez której nie potrafimy żyć, a która w ich kulturze albo w ich ambicji posiadania kultury jest zakazana. Biada, jeśli zanudzisz piosenkę albo zaintonujesz chór z "Nabuchodonozora" [Verdiego]. I wreszcie, na Boga, jest nauka. Nauka, która zrozumiała wiele chorób i terapii. Ja jeszcze żyję, na razie, dzięki naszej nauce - nie dzięki nauce Mahometa. Nauka, która wymyśliła cudowne maszyny. Pociąg, samochód, samolot, statki kosmiczne, którymi poleciliśmy na Księżyc i na Marsa, i niebawem polecimy Bóg jeszcze wie dokąd. Nauka, która zmieniła oblicze tej planety dzięki wynalezieniu elektryczności, radia, telefonu, telewizji. Prawda, że kapłani lewicy nie chcą przyznać tego, co przed chwilą powiedziałam? Boże, co za kutasy! Nigdy się nie zmienia. I oto nieuchronne pytanie: a co jest za tą drugą kulturą?

Ba! Szukaj sobie, jak chcesz, ale ja znajduję tylko Mahometa z jego Koranem i Awerroesa z jego zasługami uczonego (komentarze do Arystotelesa i tak dalej). Arafat znajduje również cyfry i matematykę. Znow wrzeszcząc na mnie i zalewając mnie śliną, powiedział mi w 1972 roku, że jego kultura jest wyższa od mojej, o wiele wyższa od mojej, ponieważ jego przodkowie wymyślili cyfry i matematykę. Ale Arafat ma krótką pamięć. Dlatego zmienia zdanie i przeczy sobie co pięć minut. Jego przodkowie nie wymyślili cyfr ani matematyki. Wymyślili zapis cyfr, który również my, niewierni, stosujemy, a matematyka została wymyślona prawie równocześnie przez wszystkie starożytne cywilizacje. W Mezopotamii, Grecji, Indiach, Chinach, Egipcie, wśród Majów... Pańscy przodkowie, Wielmożny Panie Arafat, pozostawili nam tylko nieco pięknych meczetów i jedną książkę, którą od tysiąca

czterystu lat jej wyznawcy zawracają mi dupę bardziej niż chrześcijanie swoją Biblią, a Żydzi swoją Torą. Zobaczmy więc, jakie zalety wyróżniają ten Koran. Czy są to naprawdę zalety? Od kiedy synowie Allaha prawie zniszczyli Nowy Jork, zwawcy islamu nie robią nic innego, tylko wychwalają mi Mahometa: tłumaczą, że Koran naucza pokoju, braterstwa i sprawiedliwości. (Zresztą mówi to również Bush, biedny Bush. I to jest zrozumiałe, że Bush musi zadowolić dwadzieścia cztery miliony amerykańskich muzułmanów, przekonać ich, żeby powiedzieli to, co wiedzą o ewentualnych krewnych, przyjaciółach albo znajomych powiązanych z Osamą ben Ladenem). Lecz wówczas co zrobimy z zasadą oko-za-oko-ząb-za-ząb? Co zrobimy ze sprawą czarczafów, a raczej woalu, który zakrywa twarz muzułmanek? By spojrzeć na bliźniego, muszą, nieszczęsne, patrzeć przez gęstą siatkę umieszczoną na wysokości oczu. Co zrobimy z poligamią i zasadą, wedle której kobiety mają być warte mniej od wielbłądów, nie powinny chodzić do szkoły, nie powinny chodzić do lekarza, nie powinny robić sobie zdjęć i tak dalej? Co zrobimy z zakazem picia alkoholu i karą śmierci dla tych, którzy zakaz ten łamią? To również jest w Koranie. A nie wydaje mi się to wcale tak sprawiedliwe, tak braterskie, tak pokojowe.

Oto zatem moja odpowiedź na twoje pytanie o Różnice-pomiędzy-dwiema-Kulturami. Na świecie jest miejsce dla wszystkich, tak twierdzą. We własnym domu każdy robi, co chce. I jeśli w niektórych krajach kobiety są tak głupie, że godzą się na czarczaf, czyli woal, i patrzą przez gęstą siatkę umieszczoną na wysokości oczu, tym gorzej dla nich. Jeśli godzą się nie chodzić do szkoły, nie chodzić do lekarza, nie robić sobie zdjęć i tak dalej, tym gorzej dla nich. Jeżeli ich mężczyźni są tak tępi, że nie piją piwa i wina, jak wyżej. Ja im tego nie zabronię. Jeszcze czego! Zostałam wychowana w poczuciu wolności, a moja mama mówiła: "Świat jest piękny, ponieważ jest różnorodny". Lecz jeśli zamierzają narzucić mi to samo w moim domu... A zamierzają. Osama ben Laden twierdzi, że cała planeta Ziemia musi się stać muzułmańska, że musimy nawrócić się na islam, że po dobroci albo pod przymusem nas nawróci, że w tym celu nas masakruje i w dalszym ciągu będzie nas masakrował. I to nie może się nam podobać, nie. To musi nam narzucić silną wolę odwrócenia ról, zabicia jego. Jednak ta rzecz się nie rozstrzygnie, nie wyczerpie wraz ze śmiercią Osamy ben Ladena. Ponieważ Osamów ben Ladenów są już dziesiątki tysięcy, i to nie tylko w Afganistanie czy innych krajach arabskich. Są wszędzie, a najbardziej zaciekli są właśnie na Zachodzie. W naszych miastach, na naszych ulicach, na naszych uniwersytetach, w ośrodkach badań nad technologią. Nad tą technologią, którą każdy głupek może się posługiwać. Krucjata trwa już od dawna. I działa jak szwajcarski zegarek, podtrzymywana przez wiarę i perfidię porównywalną jedynie z wiarą i perfidią Torquemady, kiedy był zwierzchnikiem inkwizycji. W istocie, pertraktować z nimi jest rzeczą niemożliwą. Dyskutować - nie do pomyslenia. Traktować ich z wyrozumiałością, tolerancją lub nadzieją jest samobójstwem. A kto myśli inaczej, jest naiwny.

Osoba, która to mówi, wystarczająco dobrze poznała ten rodzaj fanatyzmu w Iranie, Pakistanie, Bangladeszu, Arabii Saudyjskiej, Kuwejcie, Libii, Jordanii, Libanie i we własnym domu. Czyli we Włoszech. Poznała go również poprzez epizody trywialne, wręcz groteskowe, zebrała zatrważające dowody na jego istnienie. Nigdy nie zapominam tego, co przydarzyło mi się w Ambasadzie Iranu w Rzymie, kiedy wystąpiłam o wizę do Teheranu, żeby przeprowadzić wywiad z Chomeinim, i przyszłam z paznokciami pomalowanymi na czerwono. Dla nich był to znak rozwiązłości. Potraktowali mnie jak prostytutkę, którą trzeba spalić na stosie. Kazali mi natychmiast usunąć lakier. I gdybym nie powiedziała im, a raczej nie wyrzeszczała, co ja najchętniej bym im usunęła, a raczej obcięła... Nie zapominam również tego, co przytrafiło mi się w Kom, świętym mieście Chomeiniego, gdzie jako kobieta nie zostałam przyjęta w żadnym hotelu. Żeby przeprowadzić wywiad z Chomeinim, musiałam

włożyć czarczaf, żeby włożyć czarczaf, musiałam zdjąć dzinsy, żeby zdjąć dzinsy, musiałam się oddalić. Oczywiście mogłam się przebrać w samochodzie, którym przyjechałam z Teheranu, ale powstrzymał mnie tłumacz. - Pani-jest-szalona, pani-jest-szalona, za-coś-takiego-w-Kom-się-rozstrzeliwuje. Wolał mnie zawieźć do byłego pałacu królewskiego, gdzie jakiś litościwy stróż wpuścił nas i wynajął była salę tronową. Rzeczywiście, czułam się jak Madonna, która po to, żeby wydać na świat Dzieciątko Jezus, schroniła się razem z Józefem w stajni ogrzewanej przez osła i wołu. Lecz mężczyźni i kobiecie bez ślubu Koran zabrania zostawać za zamkniętymi drzwiami, broń Boże, i w pewnej chwili drzwi się otworzyły. Mułła odpowiedzialny za przestrzeganie Moralności wtargnął, wrzeszcząc: wstyd-wstyd, grzech-grzech, i był tylko jeden sposób, żebyśmy nie zostali rozstrzelani - wziąć ślub. Podpisać czasowy akt małżeństwa (cztery miesiące), którym mułła wymachiwał nam przed nosami. Problem w tym, że tłumacz miał żonę Hiszpankę, niejaką Consuelo, wcale nieskłoną do tego, by zgodzić się na poligamię, a ja nie chciałam wychodzić za mąż. A cóż dopiero za Irańczyka ożenionego z Hiszpanką, w żadnym razie nieskłoną do tego, by zgodzić się na poligamię. Ale przecież nie chciałam zostać rozstrzelana, a tym samym stracić wywiad z Chomeinim. Rozstrzygałam w sobie właśnie ten dylemat, aż...

Pewnie się śmiejesz. Myślisz, że to dowcip. A więc dalszego ciągu ci nie opowiem. Żeby doprowadzić cię do łez, opowiem ci o dwunastu nieczystych chłopcach, których po zakończeniu wojny w Bangladeszu [rok 1971 - red.] zamordowano w Dakce. Zabili ich na boisku stadionu w Dakce uderzeniami bagnetów w pierś i w brzuch w obecności dwudziestu tysięcy wiernych, którzy z trybun bili brawo w imię Boga. "Allah akbar, Allah akbar", krzyczeli. Wiem, wiem: w Koloseum starożytni Rzymianie, ci Rzymianie, z których moja kultura jest tak dumna, dla zabawy patrzyli, jak lwy posilały się chrześcijanami. Wiem, wiem: we wszystkich krajach Europy chrześcijanie, ci chrześcijanie, których wkład w Historię Myśli uznaję pomimo mojego ateizmu, bawili się, patrząc na płonących heretyków. Ale minęło sporo czasu, trochę się ucywilizowaliśmy i również dzieci Allaha powinny zrozumieć, że pewnych rzeczy się nie robi. Po dwunastu nieczystych chłopcach zamordowali dziecko, które chcąc uratować brata skazanego na śmierć, rzuciło się na oprawców. Zmiażdżyli mu głowę wojskowymi buciorami. A jeśli nie wierzysz, cóż: przeczytaj sobie moją kronikę albo kronikę dziennikarzy francuskich lub i niemieckich, którzy byli tam ze mną przerażeni tak samo jak ja. Albo jeszcze lepiej popatrz sobie na zdjęcia, które wykonał jeden z nich. W każdym razie nie to chcę podkreślić. Chciałam powiedzieć, że po tej masakrze dwadzieścia tysięcy wiernych (w tym wiele kobiet) zeszło z trybun na boisko. Nie chaotycznie, bez ładu, nie. W sposób uporządkowany, ceremonialny. Powoli sformowali pochód i w imię Boga przeszli po zwłokach, wciąż krzycząc "Allah akbar, Allah akbar". Zniszczyli ich tak samo jak te dwie nowojorskie wieże. Przerobili ich na krwawy dywan ze sproszkowanych kości.

Ach, mogłabym tak w nieskończoność. Mówić ci o rzeczach, o których nikt nigdy nie mówił, sprawić, że włosy zjeżyłyby ci się na głowie. Na przykład o tym zdzieciniałym Chomeinim, który po wywiadzie wygłosił w Kom przemówienie, oświadczając, że oskarżałam go o obcinanie kobietom piersi. Z tego wiecu nakręcił relację, która przez wiele miesięcy była pokazywana przez telewizję w Teheranie, i kiedy następnego roku wróciłam do Teheranu, zostałam aresztowana od razu na lotnisku. I wyglądało to źle, naprawdę źle. Był to okres, kiedy przetrzymywano tam amerykańskich zakładników... Mogłabym ci opowiedzieć o tym Mujiburze Rahmanie [pierwszym premierze niepodległego Bangladeszu - red.], który, wciąż w Dakce, nakazał swoim bojownikom zlikwidować mnie jako niebezpieczną Europejkę, ale na szczęście, ryzykując własne życie, uratował mnie angielski pułkownik. Lub o tym Palestyńczyku o imieniu Habash, który kazał trzymać karabin przystawiony do mojej głowy przez dwadzieścia minut. Boże, co to za ludzie! Jedynymi, z którymi miałam cywilizowany

kontakt, pozostają biedny Ali Bhutto, premier Pakistanu, którego powieszono za przyjaźń z Zachodem, i wspomniał król Jordanii Husajn. Ale ci dwaj byli muzułmanami w takim samym stopniu, w jakim ja jestem katoliczką. W każdym razie powiem ci, jaki jest wniosek z tego mojego rozumowania. Wniosek, który wielu osobom się nie spodoba, jako że we Włoszech obrona własnej kultury stała się grzechem śmiertelnym. I jako że w obawie przed nieadekwatną zresztą etykietką "rasisty" wszyscy siedzą cicho jak mysz pod miotłą.

Ja nie stawiam namiotów przed Mekką. Nie śpiewam "Ojcze nasz" ani "Zdrowaś Mario" nad grobem Mahometa. Nie siusiam na marmury ich meczetów, nie robię kupy u stóp ich minaretów. Kiedy jestem w ich krajach (co nigdy mnie nie napawa rozkoszą), nie zapominam, że jestem gościem i cudzoziemką. Uważam, żeby ich nie obrazić strojem, gestami lub zachowaniem, które dla nas są normalne, a dla nich nie do przyjęcia. Odnoszę się do nich z należnym szacunkiem, z należną uprzejmością, przepraszam, kiedy przez nieuwagę lub niewiedzę złamię jakąś ich regułę albo wierzenie. I ten wrzask bólu i oburzenia wypisałam ci, mając przed oczami obrazki, które nie zawsze pokazywały aż tak apokaliptyczne sceny jak te, od których zaczęłam. Czasami zamiast nich widziałam obrazek dla mnie symboliczny (a więc doprowadzający do wściekłości) jak ten wielki namiot, którym latem zeszłego roku somalijscy muzułmanie znieważyli i obsrali, i spotwarzyli na trzy miesiące plac przed katedrą we Florencji. W moim mieście.

Namiot wzniesiony po to, żeby potępić, oskarżyć, obrazić rząd włoski, który udzielił im gościny, lecz nie wystawił im dokumentów niezbędnych, żeby się rozbiec po całej Europie, i nie pozwolił im przywieźć do Włoch hord krewnych. Mamuś, tatusiów, braci, siostr, wujków, cioć, kuzynów, szwagierek w ciąży, a nawet dalszych krewnych. Namiot postawiony obok pięknego pałacu arcybiskupów - na jego podeście stawiali buty i kapcie, które we własnych krajach pozostawiali poza meczetami. A razem z butami i kaptami puste butelki po wodzie, którą myli sobie nogi przed modlitwą. Namiot postawiony przed katedrą z kopułą Brunelleschiego, obok baptysterium ze złotymi drzwiami Ghibertiego. Wreszcie namiot urządzony jak kiczowaty apartamencik: krzesła, stoliki, szezlongi, materace do spania i do pieprzenia się, kuchenki do gotowania jedzenia i zatruwania placu dymem i smrodem. I - dzięki tradycyjnej nieświadomości Enelu [instytucji odpowiedzialnej za dostawy prądu - red.], który o nasze dzieła sztuki dba tak samo jak o krajobraz - podłączony do elektryczności. Dzięki radiomagnetofonowi ozdobiony wyciem muezina, który punktualnie napominał wiernych, zagłuszał niewiernych i tłumiał bicie dzwonów. A do tego żółte strugi moczu, które bezczęściły marmury baptysterium. (Cholera! Ale mają zasięg ci synowie Allaha! Jak to możliwe, żeby trafić w obiekt oddzielony ogrodzeniem, oddalony o prawie dwa metry od ich narządów moczowych?). Żółte strugi uryny, smród gówna, które zagradzało wejście do kościoła San Salvatore al Vescovo - wspaniałego kościoła romańskiego (z 1000 roku), który stoi na zapleczu placu katedralnego, a który synowie Allaha zamienili w sracz. Zresztą sam wiesz.

Wiesz, bo przecież zadzwoniłam wtedy do ciebie i prosiłam, żebyś napisał o tym w "Corriere". Pamiętasz? Zadzwoniłam również do burmistrza, który - to muszę mu przyznać - uprzejmie złożył mi wizytę. Wysłuchał mnie i przyznał mi rację. "Ma pani rację, naprawdę...". Ale namiotu nie usunął. Zapomniał albo nie wiedział, jak to zrobić. Zadzwoniłam również do ministra spraw zagranicznych, który jest florentczykiem, i to takim, który mówi z florenckim akcentem, i również jego w to wciągnęłam. I również on, jemu też muszę to oddać, mnie wysłuchał. Przyznał mi rację: "No tak, ma pani rację". Ale nie ruszył palcem, żeby usunąć namiot, za to bardzo szybko spełnił żądania synów Allaha, którzy sikali na baptysterium i srali na kościół San Salvatore al Vescovo. (O ile wiem, tatusiowie,

mamusię, bracia, siostry, wujkowie, ciocie, kuzyni, szwagierki w ciąży są teraz tam, gdzie chcieli - czyli we Florencji i w innych miastach europejskich). Zatem zmieniłam sposób działania. Zadzwoiłam do sympatycznego policjanta, który kieruje biurem bezpieczeństwa, i powiedziałam: "Drogi policjancie, nie jestem politykiem. Kiedy mówię, że coś zrobię, to znaczy, że zrobię. Ponadto znam wojnę i znam się na pewnych rzeczach. Jeśli do jutra nie usuniecie tego pieprzonego namiotu, spalę go. Jak słowo honoru - spalę i nawet regiment karabinierów mnie nie powstrzyma, i dlatego proszę mnie aresztować. Wsadzić do więzienia w kajdankach. Dzięki temu trafię do wszystkich gazet". Cóż, ponieważ okazał się bardziej inteligentny od tych, z którymi poprzednio rozmawiałam, w ciągu kilku godzin namiot usunął. Na jego miejscu pozostała tylko ogromna i obrzydliwa plama wydzielin. Było to jednak pyrrusowe zwycięstwo. A to dlatego, że w żadnym stopniu nie wpłynęło na inne plagi, od lat trapiące i hańbiące miasto, które było stolicą sztuki, kultury i piękna, nie onieśmieliło w najmniejszym stopniu jej aroganckich gości: Albańczyków, Sudańczyków, Bengalczyków, Tunezyjczyków, Algierczyków, Pakistańczyków, Nigeryjczyków, którzy z takim zapalem włączają się w handel narkotykami i w prostytucję, czego prawdopodobnie Koran już nie zabrania. Ach, tak, są tam, gdzie byli, zanim mój policjant usunął namiot. Na placu przed Galerią Uffizi i u stóp Wieży Giotto. Przed Loggia dell'Orcagna, wokół Logge del Porcellino. Na wprost Biblioteki Narodowej, u wejścia do muzeów. Na Ponte Vecchio, gdzie co jakiś czas walczą na noże lub na pistolety. Na bulwarach nad Arno, gdzie żądali i uzyskali obietnicę, że władze miasta będą ich finansować (tak jest, moi państwo, finansować). Przed kościołem San Lorenzo, gdzie chleją wino, piwo i wódkę, obłudnicy, i gdzie obrażają kobiety. (W zeszłym roku jakieś obrzydlistwa kierowali również do mnie, która jestem już starą kobietą. I źle trafili. Och, jak źle trafili! Jeden z nich w dalszym ciągu oplakuje stan swoich genitaliów). Na zabytkowych ulicach, gdzie biwakują pod pretekstem handlu. Ich towar to torby i walizki skopiowane z modeli chronionych patentami, więc nielegalne, a także landszafty, ołówki, afrykańskie posążki, które bezmyślni turyści biorą za rzeźby Berniniego, rzeczy-do-wąchania. ("Je connais mes droits" - znam swoje prawa, syknął mi jeden ze sprzedawców tych pachnidła). I biada, jeśli obywatel zaprotestuje, biada, jeśli odpowie: korzystaj-sobie-z-tych-praw-we-własnym-domu. "Rasista, rasista!". Biada policjantowi, który zwróci takiemu uwagę: "Panie synu Allaha, Wasza Wysokość, czy mógłby pan się przesunąć o włos i pozwolić przejść innym ludziom?". Zjedzą go żywcem. Rzucą się na niego z nożem. W najlepszym razie obrażą mu matkę i potomstwo. "Rasista, rasista!". I ludzie to znoszą z rezygnacją. Nie reagują nawet, jeśli im wywrzeszczysz to, co mój ojciec krzyczał w czasach faszyzmu: "A nic was już nie obchodzi godność? Nie macie ani trochę godności, barany?".

To samo dzieje się również w innych miastach, wiem. Na przykład w Turynie. W tym Turynie, który stworzył Włochy, a który nie wygląda już nawet na włoskie miasto. Wygląda jak Algier, Dakka, Nairobi, Damaszek, Bejrut. W Wenecji. W tej Wenecji, gdzie zamiast gołębi na placu Świętego Marka pojawiły się dywany z "towarem" i nawet Otello poczułby się zażenowany. W Genui. W tej Genui, której wspaniałe pałace podziwiane swego czasu przez Rubensa zostały przez nich zawłaszczone i teraz niszczone jak piękne zgwałcone kobiety. W Rzymie. W tym Rzymie, gdzie polityczny cynizm i polityczne oszustwa wszelkich odcieni zalecają się do nich w nadziei na przyszłe głosy i gdzie ich chroni sam Papież. (Dlaczego, w imię Jedyne Boga, nie zabierze ich Wasza Świątobliwość do Watykanu? Ale uwaga: pod warunkiem że nie osrają Kaplicy Sykstyńskiej, rzeźb Michała Anioła i fresków Rafała). Teraz to ja czegoś tu nie rozumiem. Zamiast "synami Allaha" we Włoszech są nazywani "pracownikami zagranicznymi". Albo "potrzebną-siłą-robotczą". I nie mam żadnych wątpliwości, że niektórzy z nich naprawdę pracują. Włosi stali się tak wielkopańscy. Spędzają wakacje na Seszelach, latają do Nowego Jorku po prześcieradła Bloomingdale's. Wstydzą się być robotnikami i rolnikami i nie możesz już ich kojarzyć z

proletariatem. Ale ci, o których teraz mówię, co to za robotnicy? Jaka wykonują pracę? W jaki sposób wypełniają zapotrzebowanie na siłę roboczą, której były proletariat włoski przestał dostarczać? Biwakując po miastach pod pretekstem handlu? Obijając się i szpecąc nasze zabytki? Modląc się pięć razy dziennie? Nie rozumiem jeszcze innej rzeczy. Jeśli naprawdę są tacy biedni, to kto im daje pieniądze na podróż statkiem lub pontonem do Włoch? Kto im daje po dziesięć milionów lirów (co najmniej) na bilet? Chyba nie Osama ben Laden, chyba nie po to, żeby wszczęli podbój, który nie jest tylko podbojem dusz, lecz również terytoriów?

Cóż, jeśli to nawet nie on, to i tak warto się nad tym zastanowić. Jeśli nawet nasi goście są całkiem niewinni, jeśli nawet nie ma wśród nich nikogo, kto miałby ochotę zburzyć mi wieżę w Pizie albo Wieżę Giotta, kto chce nakazać mi, bym chodziła w czarzafie, kto chce mnie spalić na stosie nowej inkwizycji, to i tak ich obecność wprawia mnie w stan niepokoju. Wprawia mnie w zakłopotanie. I jeśli ktoś tę sprawę lekceważy albo podchodzi do niej z optymizmem, myli się. Popelnia błąd przede wszystkim ten, kto porównuje falę imigrantów, która przetacza się przez Włochy i przez Europę, z tą, która przetoczyła się przez Amerykę w drugiej połowie XIX i na początku XX stulecia. Powiem ci dlaczego.

Niedawno usłyszałam zdanie wypowiedziane przez jednego z tysiąca premierów, którzy w ostatnich dziesięcioleciach przysporzyli Włochom chwały. "Ech, mój wujek również był emigrantem! Pamiętam wujka, jak z płócienną walizeczką odpływał do Ameryki!". Lub coś w tym rodzaju. O nie, mój drogi. Nie. To wcale nie to samo. I to z dwóch dość prostych powodów.

Pierwszy to ten, że w drugiej połowie XIX wieku fala imigracji w Ameryce nie zrodziła się w sposób nieoficjalny i na warunkach podyktowanych przez jej inicjatora. To sami Amerykanie zachęcali do przyjazdu. Na mocy konkretnego aktu Kongresu. "Przybywajcie, przybywajcie, potrzebujemy was. Kiedy przybędziecie, otrzymacie spory kawałek ziemi". Nakręcili o tym nawet film, z Tomem Cruise'em i Nicole Kidman, którego finał wywarł na mnie wrażenie. Scena z nieszczęśnikami, którzy biegną, żeby zatknąć białą flagę na poletku, lecz tylko najmłodszy i najsilniejszy dadzą sobie radę. Inni pozostają z pustymi rękami, a niektórzy umierają w biegu. [Chodzi o film Rona Howarda "Za horyzontem" - red.]. O ile wiem, włoski parlament nigdy nie uchwalił dekretu, który by zachęcał albo ponaglał naszych gości do porzucenia własnego kraju. "Przybywajcie-przybywajcie-ponieważ-was-bardzo-potrzebujemy, jeśli-przybędziecie-ofiarujemy-wam-gospodarstwo-w-Chianti". Do nas przybyli z własnej inicjatywy na przeklętych pontonach, grając na nosie policji finansowej, która usiłowała ich odesłać z powrotem. Bardziej niż o emigracji należy więc mówić raczej o nielegalnej inwazji. I nie jest to wcale nielegalność łagodna i tragiczna, ale zatrważająca. Jest arogancka i chroniona przez cynizm polityków, którzy przymykają na nią jedno oko, a nawet jedno i drugie. Nigdy nie zapomnę wieców, którymi w zeszłym roku nielegalni imigranci wypełnili place Włoch, żeby otrzymać pozwolenia na pobyt. Te wykrzywione, złe twarze. Te wzniesione, grożące pięści. Te wściekłe głosy, które kazały mi powrócić myślami do Teheranu Chomeiniego. Nie zapomnę ich nigdy, ponieważ czułam się obrażona przez przemoc w moim własnym domu i dlatego, że poczułam się wyszydzona przez ministrów, którzy nam mówili: "Chcielibyśmy ich deportować, ale nie wiemy, gdzie się ukrywają". Kutasy! Na tych placach były ich tysiące i wcale się nie ukrywali. Żeby przeprowadzić deportację, wystarczyłoby ich ustawić w szeregu - proszę-Szanowny-Panie-niech-Pan-zajmie-miejsce-w-kolejce - i odwieźć ich na lotnisko.



Drugi powód, drogi siostrzeńcze wujka z płócienną walizeczką, zrozumiałby nawet uczeń szkoły podstawowej. Żeby go wyłożyć, wystarczy kilka elementów. Pierwszy: Ameryka jest kontynentem. I w drugiej połowie XIX wieku, kiedy amerykański Kongres zapalił zielone światło dla imigracji, ten kontynent był prawie bezludny. Większość populacji skupiała się we wschodnich stanach, czyli po stronie Atlantyku, a na Mid-West zamieszkiwało jeszcze niewiele osób. Kalifornia była prawie pusta. Cóż, Włochy to nie kontynent. To bardzo niewielki kraj, wcale nie bezludny. Drugi: Ameryka to kraj bardzo młody. Jeśli pomyślisz, że wojna wywoleńcza miała miejsce pod koniec XVIII wieku, wywnioskujesz, że Stany Zjednoczone mają dopiero dwieście lat, i zrozumiesz, dlaczego ich tożsamość kulturowa nie jest jeszcze dobrze określona. Włochy, wręcz przeciwnie, są krajem bardzo starym. Ich historia trwa co najmniej od trzech tysięcy lat. Ich tożsamość kulturowa jest więc określona bardzo dobrze i - szkoda gadać - nie wywodzi się z religii nazywanej chrześcijańską i z Kościoła nazywanego katolickim. Ludzie tacy jak ja mają kłopoty z deklaracją: "Ja-nie-mam-nic-wspólnego-z-Kościółem-katolickim". Mam, i to jeszcze jak. Czy to mi się podoba, czy nie. A jak bym miała nie mieć? Urodziłam się w krajobrazie pełnym kościołów, klasztorów, Chrystusów, Madonn, świętych. Pierwszą melodią, jaką usłyszałam, przychodząc na świat, była muzyka dzwonów. Dzwonów katedry Santa Maria del Fiore, którą w Epoce Namiotu zagłuszało wycie muezina. To w tej muzyce, w tym krajobrazie się wychowałam. To poprzez tę muzykę i poprzez ten pejzaż nauczyłam się, co to jest architektura, rzeźba, co to malarstwo, sztuka. To poprzez ten Kościół (następnie odrzucony) zaczęłam zadawać sobie pytanie, co to jest Dobro, co to jest Zło, na Boga...

Widzisz? Kolejny raz napisałam "na Boga". Przy całym moim laicyzmie, przy całym moim ateizmie, jestem tak przesiąknięta kulturą katolicką, że stanowi ona wręcz część mojego sposobu wyrażania się. O Boże, mój Boże, dzięki Bogu, na Boga, Boże mój, Jezus Maria, Matko Przenajświętsza, Chrystus tu, Chrystus tam. Te słowa przychodzą mi do głowy tak spontanicznie, że nawet nie zauważam, kiedy je wymawiam lub piszę. A chcesz jeszcze coś wiedzieć? Pomimo że katolicyzmowi nigdy nie wybaczyłam nikczemności, które narzucał mi przez wieki, począwszy od inkwizycji, tej inkwizycji, która mi nawet spaliła babcię, biedną babcię, choć nie zgadzam się z księżmi i nie wiem, na co mogą mi się przydać ich modlitwy, ja bardzo lubię tę muzykę dzwonów. Ona pieści mi serce. Lubię również te rzeźby i obrazy Chrystusa, Madonny i świętych. Mam kota na punkcie ikon. Lubię również klasztory i pustelnie. Dają mi poczucie spokoju, czasami zazdrozczę ich mieszkańcom. A poza tym przynajmniej - nasze katedry są piękniejsze od meczetów i od synagog. Tak czy nie? Są również piękniejsze od kościołów protestanckich. Popatrz, cmentarz mojej rodziny jest cmentarzem protestanckim. Gromadzi prochy zmarłych wszystkich wyznań, ale jest protestancki. A moja prababcia należała do Kościoła waldensów. Moja wujenka była ewangeliczką. Prababki z Kościoła waldensów nie znałam. Ale wujenkę ewangeliczkę owszem. Kiedy byłam mała, prowadziła mnie na nabożeństwa do swojego kościoła na via de' Benci we Florencji i... Boże, jak ja się nudziłam! Czułam się taka samotna wśród tych wszystkich wiernych, którzy śpiewali psalmy i to wszystko, z tym księdzem, który nie był księdzem i czytał Biblię, i tyle, w tym kościele, który nie wydawał mi się kościołem i w którym oprócz małej mównicy był tylko wielki krucyfiks i tyle. Żadnych aniołów, żadnej Madonny, żadnego kadzidła... Brakowało mi nawet smrodu kadzidła i miałam ochotę znaleźć się w pobliskiej bazylice Santa Croce, gdzie wszystkie te rzeczy były. Rzeczy, do których byłam przyzwyczajona. I dodam: w moim domu na wsi, w Toskanii, jest maleńka kaplica. Jest zawsze zamknięta. Od kiedy umarła mama, nikt tam już nie chodzi. Ale ja czasami tam chodzę, żeby odkurzyć, żeby sprawdzić, czy nie zagnieździły się myszy, i pomimo mojego laickiego światopoglądu czuję się tam jak u siebie. Pomimo mojego antyklerykalizmu

poruszam się po niej swobodnie. I myślę, że ogromna większość Włochów wyznałaby ci to samo. (Mnie wyznał to sam Berlinguer).

Święty Boże! (I znowu ten Bóg). Mówię ci, że my, Włosi, nie jesteśmy w tej samej sytuacji co Amerykanie: mozaika grup etnicznych i religijnych, gmatwanina tysiąca kultur otwartych równocześnie na różne inwazje i zdolnych je odrzucić. I właśnie dlatego, że jest tak zdefiniowana od wielu wieków i tak dobrze określona, nasza tożsamość kulturowa nie może przyjąć fali imigrantów złożonej z osób, które w ten albo inny sposób chcą zmienić nasz system życiowy. Nasze wartości. Twierdzą, że nie ma u nas miejsca dla muezinów, minaretów, fałszywych abstynentów, dla ich pieprzonego średniowiecza, dla ich pieprzonego czarzaflu. A gdyby było, i tak bym ich nie wpuściła. Bo to by znaczyło tyle, co wyrzucić Dantego, Leonarda, Michała Anioła, Rafaela, renesans, zjednoczenie kraju, wolność, którą wywalczyliśmy sobie na różne sposoby, naszą Ojczyznę. Tyle co podarować im Włochy. A ja Włoch im nie oddam.

Jestem Włoszką. Głupcy, którzy mają mnie już za Amerykankę, grubo się mylą. Nigdy nie prosiłam o obywatelstwo amerykańskie. Dawno temu ambasador amerykański ofiarował mi je na mocy Celebrity Status, a ja - dziękując mu - powiedziałam: "Sir, jestem bardzo związana z Ameryką. Bez przerwy się z nią kłócę, robię jej wyrzuty, ale jestem z nią głęboko związana. Ameryka jest dla mnie kochankiem, a wręcz mężem, któremu będę zawsze wierna. Chyba że przyprawi mi rogi. Kocham tego męża. I nigdy nie zapominam, że gdyby nie zadał sobie tyle trudu, by wytoczyć wojnę Hitlerowi i Mussoliniemu, dziś mówiłabym po niemiecku. Nie zapominam, że gdyby nie stawiał czoła Związkowi Radzieckiemu, dzisiaj mówiłabym po rosyjsku. Kocham tego mojego męża i lubię. Podoba mi się, że kiedy przybywam do Nowego Jorku i pokazuję paszport ze stemplem stałego pobytu, celnik mówi mi z szerokim uśmiechem: "Welcome home" (Witaj w domu). To taki hojny, taki czuły gest. Przypomina mi również, że Ameryka zawsze była Refugium Peccatorum [ucieczką grzeszników - red.] dla ludzi bez ojczyzny. Ale ja mam już ojczyznę, Sir. Moją ojczyzną są Włochy, a Włochy to moja matka. Sir, ja kocham Włochy. I czułabym się tak, jak gdybym wyrzekła się matki, gdybym przyjęła obywatelstwo amerykańskie". Powiedziałam mu również, że moim językiem jest włoski, że po włosku piszę, a na angielski się przekładam, i tyle. W tym samym duchu, w którym przekładam się na francuski, czyli odczuwając go jak język obcy. I powiedziałam mu, że kiedy słucham hymnu Mamelego, wzruszam się. Że kiedy słucham tego "Fratelli-d'Italia, l'Italia-s'e-desta, pa-ra-pa, pa-ra-pa, pa-ra-pa", coś mnie ściska za gardło. Nawet nie zauważam, że ten hymn jako hymn jest dość brzydki. Myślę tylko: to hymn mojej Ojczyzny. To samo odczuwam zresztą również wtedy, kiedy patrzę, jak łopoce biało-czerwono-zielona flaga. Pomijając flagi, którymi na stadionach wymachują chuligani, ma się rozumieć. Mam XIX-wieczny biało-czerwono-zielony sztandar. Cały w plamach krwi, pogryziony przez myszy. I pomimo że na jego środku jest herb państwa sabaudzkiego (ale bez Cavoura i bez Wiktora Emanuela, bez Garibaldiego, który pochylał się przed tym sztandarem, nigdy nie mielibyśmy zjednoczonych Włoch), przechowuję go jak skarb. Strzegę jak klejnotu. Jezu, umieraliśmy dla tego sztandaru! Wieszani, rozstrzeliwani, ścinani. Mordowani przez Austriaków, przez papieża, przez księcia Modeny, przez Burbonów. Z tą flagą powstaliśmy. Z nią doprowadziliśmy do zjednoczenia Włoch, z nią byliśmy na wojnie nad Carso, z nią braliśmy udział w ruchu oporu. Za tę flagę mój praprapradziadek po kądzieli Giobatta walczył w Curtatone i w Montanarze i został zmasakrowany przez austriacki pocisk. Dla tej flagi moi stryjowie przeżyli wszelkie tortury okopów Carso. Dla tej flagi mój ojciec był aresztowany i torturowany w Villa Triste przez nazistów. Dla tego sztandaru cała moja rodzina podjęła opór, ja również. W szeregach Giustizia e Liberta pod pseudonimem "Emilia". Miałam wtedy czternaście lat. Kiedy po roku otrzymywałam odprawę od Wojska Włoskiego - Korpusu

Wolontariuszy Wolności, byłam tak dumna. Jezus Maria, byłam włoskim żołnierzem! I kiedy poinformowano mnie, że należy mi się 14 tys. 540 lirów, nie wiedziałam, czy powinnam je przyjąć. Wydawało mi się to niewłaściwe - przyjąć pieniądze za wypełnienie obowiązku wobec Ojczyzny. Ale przyjęłam. W naszym domu nikt nie miał butów. A za te pieniądze kupiłam buty dla siebie i dla moich siostrzyczek.

Oczywiście, moja Ojczyzna, moje Włochy, to nie te same Włochy co dzisiaj. Włochy biesiadne, cwaniackie, wulgarne, Włochy Włochów, którzy myślą tylko o tym, żeby pójść na emeryturę przed pięćdziesiątką, i którzy pasjonują się tylko wakacjami za granicą i meczami piłkarskimi. Włochy złe, głupie, tchórzliwe. Włochy małych hien, które tylko po to, żeby uścisnąć rękę hollywoodzkiej gwiazdce, sprzedaliby córkę do bejruckiego burdelu, ale kiedy kamikadze Osamy ben Ladena zmieniają tysiące nowojorczyków w górę prochów przypominających mieloną kawę, podśmiewają się zadowoleni: dobrze-tak-Amerykanom-dobrze-im-tak. Włochy smętne, tchórzliwe, bezduszne, rozdrapane przez zarozumiałe i nieudolne partie, które nie potrafią ani wygrywać, ani przegrywać, ale wiedzą, jak przykleić tłuste zadki swoich przedstawicieli do foteli poselskich albo ministerialnych lub do fotela burmistrza. Mussoliniańskie wciąż Włochy faszystów czarnych i czerwonych, które ilustrują miażdżącą myśl Ennia Flaiana: "We Włoszech faszyci dzielą się na dwie kategorie: na faszystów i antyfaszystów". To nie są Włochy prokuratorów i polityków, którzy ignorując reguły zgodności czasów, nauczają z monitorów telewizyjnych, popełniając potworne błędy składniowe. (Te zwierzęta nie wiedzą nawet, jak wypowiedzieć zdanie współrzędnie złożone!). To nie są Włochy młodzieży, która mając takich mistrzów, tonie w najbardziej skandalicznej ignorancji, w najbardziej dramatycznej powierzchowności, w próżni. I do błędów składniowych dołącza błędy ortograficzne, a kiedy spytasz młodego człowieka, kim byli karbonariusze, kim byli liberałowie, kim byli Silvio Pellico, Mazzini, Massimo D'Azeglio, Cavour, kim był Wiktor Emanuel II, patrzy na ciebie zgaszonym wzrokiem i z rozdziawioną gębą. Nie wiedzą nic, co najwyżej umieją odegrać wygodną rolę adeptów terroryzmu w czasie pokoju i demokracji, wymachiwać czarnymi flagami, chować twarze za kominiarkami, mali głupcy. Nieudacznicy. A tym bardziej nie są to Włochy cykad, które po przeczytaniu tych notatek znienawidzą mnie za to, że napisałam prawdę. Pomiedzy jednym talerzem spaghetti a drugim będą mnie przeklinać, będą mi życzyć, żeby zabili mnie ich podopieczni, czyli różni Osamowie ben Ladenowie. Nie, nie: moje Włochy to Włochy idealne. To Włochy, o których marzyłam w dzieciństwie, kiedy dostawałam odprawę Wojska Włoskiego - Korpusu Wolontariuszy Wolności i miałam mnóstwo złudzeń. Włochy poważne, inteligentne, godne, odważne, czyli zasługujące na szacunek. I biada tym, którzy mi będą chcieli zabrać te Włochy, Włochy, które istnieją nawet wtedy, kiedy ktoś je zagłusza, wyszydza i plugawi. Biada tym, którzy mi je ukradną, biada tym, którzy mi na nie napadną. Ponieważ czy napadną je Francuzi Napoleona, czy Austriacy Franciszka Józefa, czy Niemcy Hitlera, czy koledzy Osamy ben Ladena, jest mi wszystko jedno. Czy do inwazji użyją armat, czy pontonów - to samo.

I tym stwierdzeniem żegnam cię serdecznie, mój drogi Ferruccio, i ostrzegam: nie proś mnie już o nic. A już w żadnym razie o to, żebym brała udział w kłótniach albo w pustych polemikach. To, co chciałam powiedzieć, powiedziałam. Podyktowały mi to wściekłość i duma. Pozwoliły mi na to moje czyste sumienie i wiek. Ale teraz muszę się znów zabrać do roboty. Koniec i kropka.

ORIANA FALLACI

*Przełożył J.K.M.*

*Cytat z "Deklaracji Niepodległości" za "Encyklopedią historii Stanów Zjednoczonych Ameryki", Warszawa 1992*

*Oryginał tekstu ("La rabbia e l'orgoglio. Lettera da New York") ukazał się we włoskim dzienniku "Corriere della Sera" 29 września br.*

*\* 2001 Oriana Fallaci*

*\* 2001 Rizzoli Corriere della Sera*

## **MAJESTAT I OBSESJA**

70-letnia dziś Oriana Fallaci w latach 70. była jednym z najślynniejszych dziennikarzy świata - weteranka wszystkich możliwych wojen (sama jako 14-letnia dziewczynka walczyła we włoskiej partyzantce), zasłynęła z agresywnych i pełnych pasji wywiadów ze światowymi przywódcami - od ajatollaha Chomeiniego po Lecha Wałęsę. Do historii przeszła zwłaszcza jej rozmowa z Henrym Kissingerem, byłym amerykańskim sekretarzem stanu, od którego Fallaci wyciągnęła zwierzenie, że na czele dyplomacji USA czuł się czasami jak "kowboj prowadzący konwój osadników, niczym w opowieściach z Dzikiego Zachodu". Bardzo niezadowoleni ze swoich wizerunków, jakie wylaniały się z wywiadów Fallaci, byli Jaser Arafat i Chomeini. Ten ostatni kazał ją nawet aresztować. Ona sama często tłumaczyła, że nie stara się rozumieć racji przyświecających jej rozmówcom, ale zawsze zajmować moralne stanowisko wobec ich czynów. Jej poglądy są zaś wyjątkowo bezkompromisowe, co wyraźnie widać w tekście, który tu publikujemy.

Sama uważa się raczej za pisarkę i historyka niż dziennikarkę. Do jej najślynniejszych fabuł należą: "List do nie narodzonego dziecka" (wyd. polskie 1992), oparta na własnym doświadczeniu niechcianej ciąży; książka "Un Uomo: Romanzo" (Człowiek. Powieść), poświęcona największej miłości jej życia, zamordowanemu greckiemu rewolucjonście Alekosowi Panagoulisowi; wreszcie ostatnia książka "Inszallah" (wyd. polskie 1993), której akcja toczy się podczas wojny domowej w Libanie. Fallaci przyznaje, że wojna i śmierć to dwa tematy powracające obsesyjnie w jej twórczości: "Mam obsesję na temat nieprzydatności, głupoty, okrucieństwa i szaleństwa wojny".

Krytycy są podzieleni co do wartości artystycznej jej książek. Jedni chwala "majestatyczną i poruszającą struny duszy narrację". Według innych Fallaci "ma trudności z usłyszeniem innego głosu niż swój własny" i tworzy w swych dziełach przede wszystkim pomnik własnego egocentryzmu.

Tekst "Wściekłość i duma", który ukazał się tydzień temu w największym włoskim dzienniku "Corriere della Sera", wzbudził we Włoszech sensację. Po pierwsze dlatego, że nieuleczalnie chora Oriana Fallaci przerwała nim wieloletnie milczenie. Po drugie, ze względu na wysoce kontrowersyjne treści. Choć większość opinii publicznej zareagowała nań z zachwytem (Fallaci jest już dla Włochów żywą legendą), dla wielu zawarte w nim bezkompromisowe potępienie islamu i peany na cześć "białej" kultury są najzwyczajszym rasizmem. Jak na ironię, kilka dni przed opublikowaniem tekstu przez "Corriere" premier Włoch Silvio Berlusconi ściągnął sobie na głowę gromy, oświadczając publicznie, że w odróżnieniu od

kultury chrześcijańskiej islam zatrzymał się w rozwoju 1400 lat temu. Berlusconi musiał za swoje słowa przeprosić. Znając Oriane Fallaci, można być pewnym, że nigdy tego nie zrobi.

**11 Września 2001**